Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 52. Poznań, dnia 28. Grudnia. 1840.

Literatura zagraniczna.

BÖRNE.

1) Heinrich Heine über Ludwig Börne. (Hamburg 1840.)
2) Börne's Leben von Carl Gutzkow. (Hamburg 1840.)

(Dokończenie.)

W końcu dodajemy jeszcze kilka uwag nad dziełem Heinego i Gutzkowa. — Jeżeli w całém dziele Heinego złośliwość, próżność, kokieterya razi, uderza jednak styl piękny, błyszczący dowcipem, pełen obrazów i pięknych przenośni. Zarozumienie też ztąd Heinego pokazuje się na każdéj stronie, i tak n. p. na stronie 340. mówi on: »Börnego ku mnie nienawiść, nie była niczém więcéj, jak zazdrością, którą czuje mały tambour-maitre, widząc tambour majora, zazdrościł on mi kity wysoko w powietrzu nad mym kapeluszem bujającéj, zazdrościł munduru, przy którym więcéj srebra, jak w całym majątku małego tambour-maitra, zazdrościł spojrzeń miłośnych, któremi rzucały na mnie młode dziewice, a na które ja może kokieteryą odpowiadałem.« Podobne miejsca zabierają często całe stronnice, tak, jak gdyby nie Börne, ale Heine był dzieła swego przedmiotem, a celem, aby publiczność się dowiedziała, iż p. Heine jest pięknéj postawy, dość otyły, bardzo zajmujący, słowem człowiekiem, którego ani porównać można z Börnem. Pismo Heinego o tyle tylko może zasługiwać na uwagę, iż w rozmowach z Börnem o polityce, wierniejszy nam obraz zasad jego daje, aniżeli Gutzkow, który z republikańskiego Börnego chciał zrobić prawie wygodnego monarchistę z kilku republikańskimi zasadami i wszelkie zdania Börnego ku temu nakręcał. Przeciwnie w Heinem słowa Börnego zdają się być wiernie powtórzone. Umieszczamy wyjątek, gdzie on mówi o swoich ziomkach. Ach, mówił nieraz do mnie, (powiada Heine) ja często tak tęsknię za orzeźwiającémi głupstwami mego narodu, jak podróżny pragnący w lecie, za strumykiem. Tu we Francyi wszystkie głupstwa są tak suche, tak rozsądne, że dla każdego przyzwyczajonego do czegoś lepszego są zupełnie niesmaczne. Dla tego we Francyi od dnia do dnia jestem więcéj smutny, ponury, i umrę w końcu. Wygnanie okropnem jest! Jeżeli kiedy będę w niebie, i w niebie nie będę szczęśliwym między pięknymi anioły, ponieważ nie mówią po niemiecku i knastru nie palą. Tylko w ojczyznie jest szczęście! Miłość ojczyzny! Ja śmieję się, gdy to słowo słyszę od ludzi, co nie znają wygnania. Jeżeli kiedy będę tak szczęśliwym, że powrócę do Niemiec, nigdy przeciw pisarzowi żyjącemu na wygnaniu pisać nie będę. Gdyby nie obawa niegodziwości jaką zeznawać każą we więzieniach, nie byłbym oddalił się z Niemiec, ale kazał się zamknąć, jak zacny Wirth i inni. Jakże zazdroszczę francuzkim republikanom. Oni cierpią, ale cierpią w swéj ojczyznie: aż do chwili śmierci stoją na kochanéj ojczystéj ziemi. A do tego Francuzi walczący w Paryżu, ileż nie mają przed oczami drogich pomników, przypominających im czyny ojców, zachęcających i pocieszających. Tu mówią kamienie, tu drzewa śpiewają, a kamień taki ma więcéj uczucia godności i opowiada słowo Boże, to jest męczeństwo ludzkości, wyraźniéj, niż wielu professorów akademii w B. i G. A te kasztany w Tuileryach, czyż nie zdają się potajemnie śpiewać hymn marselski tysiącem swoich świeżych gałęzi. Tu święta jest ziemia, chodząc po niéj, trzebaby zdejmować obuwie. Na lewo terassa Feuillant, na prawo, gdzie teraz Rivoli, odbywał swe posiedzenia klub Jakobinów. Tu przed nami w pałacu Tuileryów brzmiał konwent, to zgromadzenie Tytanów, z którym porównany Bonaparte ze złotym ptakiem, wydaje się tylko jak mały Jowisz. A na przeciwko uśmiecha się do nas plac Ludwika XVI., gdzie wykonano ów wielki wyrok. A między obudwoma, między pałacem i miejscem Ludwika XVI., między Feuillant i klubem Jakobinów, w środku lasek, w którym każde drzewo kwitnącém drzewem wolności.

Miejsc jednak podobnych bardzo mało napotkaliśmy w dziele Heinego, w Gutzkowie wcale nie. Mamy nadzieję, iż w Niemczech tak obfitych w pisarzów hi-

storycznych i publicystów znajdzie się w krótce mąż, który przyjęty zasadami i szlachetnością Börnego, przedstawi nam go tak, jakim był. Będzie to najpiękniejszym pomnikiem tego niepoznanego za życia i dzisiaj tak mało jeszcze znanego męża.

Literatura krajowa.

Poezya.

Przechadzka wieczorna.

Natura jak kobieta ładna i światowa,
Co się w dzień namęczyła pieszczonemi słowy,
Zalotnie słania ciało powabne; — jéj głowa
Też się słania, bo ziemskie jéj ciężą okowy.
Rzuciła dzienne gwary i kłamane słowa.
Z boską pogodą lica śni sen nieświatowy.
Złote oko, choć w splotach warkoczy się chowa,
Strzela iskrami życia i wdzięk rodzi nowy.

Ja jestem jako muszka natrętna, brzęcząca,
Chcąca wszystko przepatrzeć co wlata na skronie.
I ze skroni ucieka, — a gdy pierś gorąca
Ją znęci, to przylata i siada na łonie, —
Lecz i pierś jest za zimna, choć ogniem płonąca,
Więc wlatuje na usta i w całunku tonie.

G. E.

Przechadzka przed świtem.

Przyrodo! tyś kobieta z wejrzeniem dziewiczém,
Tchnie pierś twoja niewinna boską wonią kwiatów;
Zorza cię przywitała ciekawém obliczem,
A tyś się zapłoniła rumieńcem szkarłatów.
Łza błysnęła ci w oku, a pieniem słowiczém
Tyś modlitwę przesłała do Pana wszechświatów.
Nie płacz, śliczna dziewico, ach nie trwóż się niczem,
Spoczywaj lubo błogo na łożu z bławatów.

Ja twój wieczny kochanek, ja nie zbudzę ciebie,
Pozwól tylko z twych ustek, z róży, oddech chwytać,
Na twych piersiach łabędzich spoczywaj jak w niebie,
O twoje sny milutkie Pana Boga pytać,
A kiedy z lubych marzeń powrócisz do siebie,
Słodkiém cię uściśnieniem na dzień dobry witać.

G. E.

Panna Katarzyna.

Domowa powiastka przez J. L. J.

Wyjątek pierwszy.

(Dokończenie.)

Błyszczało tam na stole słabe światełko, zaś w izbie było prawie ciemno, tak, że z jednego jéj kąta trudno było dojrzeć, co się w drugim działo. Arendarz wchodząc zawołał na żonę: »Ester! przinieś-no tu pulgarcufkie miodu, jeno jaki jest najdobrego!« i posadził gościa za stołem. Wtém wszedł z sieni do izby podróżny Litwin. Siedzący za stołem pachołek, nie mogąc dojrzeć wchodzącego, przysłonił dłonią oczy od blasku światełka tuż przed nim stojącego na stole, i usiłował przejrzeć w głąb izby. Postrzegłszy to arendarz skoczył nagle ku drzwiom, wywiódł Litwina do sieni i bawił tam z nim przez kilka minut. W czasie jego nieobecności Esterka nadniosła trunek i szklanki, i stawiając na stole rzekła łagodnym tonem: »Dobry wieczór, panie Antoni, czyście-to sami tego miodu chcieli?« — »Wszakeście słyszeli, pani Ickowo, że to wasz mąż dysponował i nie ja!« odrzekł pachołek, i dodał z ironią: „ale się nie lękajcie: dla mnie nie zubożejecie, jeszcze nie jestem, dzięki Bogu, bez denara w kieszeni, tedy sam zapłacę.« — Żydówka się zarumieniła, i zmieszana tą odpowiedzią, chwyciła pachołka za ramię i natychmiast odrzekła: »Nie gniewajcie się, panie Antoni, ja nie dla tego pytam, bym miała tak bardzo stać o zapłatę. Nie posądzajcie mnie o tę chciwość, — ale że ten trunek bardzo chmielny, więc żeby wam głowa nie zabolała.« — »Już i bez tego boli. Bo to człowiek zjechał się był ze znajomymi i pozwolił sobie napić się więcéj niż zwyczaj; owoż to mi widać osiadło w głowie; trzeboż teraz klin klinem wybić.« — »Nie bezpiecznie to, panie Antoni, klin klinem wybijając zawsze jeden zostawicie.« Chciała coś więcéj mówić, ale słysząc powracającego męża, zamilkła, i wolnym krokiem do stołu odeszła. — Aż wybiegł do izby arendarz, wołając na żonę, by wyniesła Litwinowi kieliszek gorzałki; wysłał ją do sieni, a sam usiadł przy stole naprzeciw gościa, nalał dwie szklanki, wziął jednę w rękę: »Daj Bożie zdrowie! panie Antoni!« nadpił i postawił. — Gość podziękował; zkosztował trunku, smakował, cmoknął parę razy, i odrzekł, stawiając szklankę: »Aleź, panie Icku, prawdę waszecina żona powiadała, że chmielny miodek. Boję się, by mnie z nóg nie zwalił. Tylko, że skosztowawszy, nie podobna do dna nie wychylić.« — »At, co tam wona głupia białogłowa wi, czi mocni? czi nie mocni?. . taka skompa, żie o kropłe miodu stoi, jakby o swuj krew.«

»Kogo-to macie w sieni, panie Icku? czy to kto na nocleg zajechał?« (Wtém Esterka, wracając cichaczem z sieni, stanęła na progu swego alkierza i pilnie się przysłuchywała rozmowie.) — »At, to tam sobie jakiś podrużni Litwin zajechał,« odpowiedział niechętnie arendarz. — »Litwin?. . . jakże bym ja rad z nim pomówił.« — „At, dajcie pokuj, panie Antoni, na co

wam tego? to taki glupi chlop, żie z nim nima cziego gadać, — at, położil sie i spi, to cali jego rozum. No, waszie zdrowie, panie Antoni!« podnieśli obaj szklanki i do pół nadpili. — »Dziękuję, panie Icku. Ale możeby ten podróżny powiedział nam co o tym sławnym zabójstwie koło Nieświeża. Waszeć nie wiem, czyś o tém słyszał; ale kiedym był w Wilnie, jest już temu lat dziesięć, tedy mi tam i dzieci o téj okropnéj zbrodni powiadały, tylko że nie pojmano onéj aktora.« — »Niech pan Buk broni, ja o tego nic nie sliszal; at, to jaki stari żieczi; pogadajmi lepi, jak to dzisiaj świat stoi. Ach! co to za nieszczziensliwi teraznieszni czasi!« — »Oj, prawda, panie Icku, że nieszczęśliwe czasy! W co by się ta nasza rzeczpospolita obróciła, gdyby jeszcze Opatrzność nad nią nie czuwała!« — »A jak to arenda źle idzie.« — »Cha, cha, cha! ja o Pawle, a waszeć o Gawle! Cóż-to za moc tych pieniędzy! panie Boże święty!«

»A cożbi czlowiekowi bidnemu wienci mislić? A widzicie, panie Antoni, żie kolki ustają; nie żialujcie jeno sobie, a zupelnie ustanie. A czi wicie, za co to was tak kole? za to, żie swoje zdrowie nie szanujecie; zajedno na koniu, a w drodze; no, jakto można, żiebi tak jeździć a jeździć?« — »Czy to ja jeden tak jeżdżę? wszyscyśmy w rozgonie. Od czasu, jak ten król Henryk do téj tam Francyej odjechał, czy uciekł, i jednego dnia człowiek spokojnie w domu nie przysiądzie; jezdzi, to tu, to tam, ... i djabeł wie, panie odpuść grzecha! kiedy się to skończy?... Ej, żebyście-to wiedzieli, panie Icku, wszystkie one praktyki, co się od śmierci króla Zygmunta Augusta (świeć panie nad jego duszą!) w naszéj rzeczypospolitéj wyprawiają!« — »No, a na co mnie tego wiedzić?... kole moi karczmi zawsze panowi stawajo, gadajo, namowlajo sie; a ja ich nigdi nie popital, co tam woni misli zrobić? co mnie po temu? — Jeno, jak cziasem zajedzie jaki dobri znajomi, jak to waszmość panie Antoni, to sie tam troszku, dla zabawi, pogada, i nic.« — »A cóżby tam i gadać z tymi panami, kiedy jedno bałamuctwa robią: i Pan Bóg święty wie, kiedy się to ukończy?« — »I jab jusz rad sliszal, kiedy się to pokonczi. Tilko jak sie to pokonczi? przes kiego? a na kiego? to wszistko jeszcze nicht nie wi.« — »Ale ja bym tego starego prymasa uchańskiego bez sprawy i sądu powiesił, bo to on wszystkiego złego powodem. Dawniéj wyprawiał rozmaite praktyki dla francuskich pieniądzy, coje tam brał i od królowéj Katarzyny Medycis, i od króla Karola, i od księcia Andegaweńskiego; sprowadził też był do korony polskiéj onego kusego Francuza, co nam uciekł, a rzeczpospolitą w nieładzie zostawił; a dziś, patrz, oto za rakuskie Tatary przeszedł do Rakuszan i tych znowu porytuje; oto szelma! a w świątobliwéj sukience!« — »Oj, prawde muwicie, panie Antoni, cob jego powiesili; a żieb ja tam blisko szubienice stal, tob jeszczie tego huncwota za nogi pociągnol, żiebi prendzi zdech; bo to taki ladaco!«

»Trzeba mi już daléj jechać; chwała Bogu, że kolki nieco ustały, tylko że mię tam coś w krzyżach dolęga; ba i pod łopatkami srogie bole przechodzą, a plecy i grzbiet to znowu jakieś zimno i w zdłuż i w poprzek przejmuje. Co się za miód należy?« — »No, jusz ja muwi, że boli ustanie. A co sie należi?... nic sie nie należi; kiedyś mnie tam odtraktujecie, panie Antoni. Ale ja to sobie zawżdi misli, jak woni zrobi, ti wielki senatory, żieb woni sobie hinsziego pana mali;« (mówiąc to dodał szklanki gościowi;) »tož im bez krunie być, bob sie pozabiwali! Jeno żie woni nie umi sie zhodzić. Pierw zjechali sie w Stenżiei, wielki szopi pobudowali, gadali, krziczeli, klucili, zabiwali, a nie mogli się zgodzić: a jak pan Ostafii Wolowicz, a ksiądz KszistofRadziwil powiedzieli, co nie w Stenżici a w Warszawi potrzeba się namawiać; tak wszistki sie do domuf rozjechali, i nic. A teraz, powiedajo, co znof do Warszawi jado, i kole Woli hinszi szopi budujo; a na co to tego?... żiebi znof krzyczeli a nic nie zrobili?.... No, powidzcie, panie Antoni, co to sie z tego zrobi? chto to biendzie krul?« — »Kto będzie krul? cha, cha, cha! oto ten, panie Icku, który będzie.« — »No, daj to Bożie, jak najlepi. Ale ja sliszal, żie to nie barzo dobże idzie, bo tam i Piasty, i Rakuszani, i Pruski, i Siedmiogrodzki, i Ferarski, i Moskieski, i z calego swiatu! a żadni sie nie zhodzi. A powiedziesz-no waszmość na prawde, czi ten Cisar biendzie u nas krulowal, czi nie? abo jego sin? Jak tam tego pan starosta muwi?« — »Nie wiem, jak pan starosta mówi o tém; ale słyszałem za rzecz pewną od ludzi zacnych, poufałych pana starosty, że ani stary ani młody Rokuszanin korony naszéj nie posiędzie.« — »A jak to mozna? kiedy ksionc prymas, powiedają, chce koniecznie, żiebi abo stary Cisar, abo mlodi, żiebi krulem bil.« — »Niech on tam sobie jak chce praktykuje; nic z tego nie będzie; bo jeśli mam szczerze powiedzieć, tak się podobno stanie, jak pan Zamojski, starosta Bełski, zechce i zrobi; a Bóg dopomoże. Nie daremnie ja tak z listami jeżdżę; będzie dobrze, panie Icku!« — »No, panie Antoni, to jak sie tam na koronaci zjedziemi, to sobie ten miodek odpijemi do dobri znajomości.«

»Aj, aj, aj! jakże mię tam pod łopatką kolnęło! niech go sto djabłów porwie! co to, panie, starość, nie młodość; dawniéj człowiek jeździł i dniem i nocą, i nic

mu nie szkodziło; a dziś oto każde przejechanie się aż pod łopatką się odzywa. Dzięki Bogu, że przed się człowiek nie daremnie jeździ.« — »No, i do cziegosz to takie żieczi gadać, panie Antoni? a cosz to po temu, żie waszmość tak jezdzi?« — „Co po temu? cha, cha, cha! a oneż ważne listy, co je rozwożę? czy je waszeć za nic uważasz?« — »Chowaj Bożie! ale ja tak misli, żie ti barzo ważni pisanie, skoro jeno nie do barzo ważni osobi, to z tego, panie Antoni, nic nie biendzie. A do kiegosz bi to waszmość takie pisanie mieli, kiedi ksionc primas wsziski co ważnieszni pani do siebie przyrobil? Powidzciesz-no, jaki to osobi? bo ja pewno wi, żie to ani senatori, ani hinszi wielki pani.« — „Powiedziałbym, lecz mi tego nie wolno uczynić.« — »Cha, cha, cha! No, ja to barzo dobże widzi, panie Antoni, żie wi sie wstidacie, coście nie prawda powiedzieli, żie z listami jezdzicie.« Mówiąc to napełnił znowu obie szklanki. „Ale sie jusz nie wstidajcie. No, za waszie zdrowie!.... abosz to ja tego kiemu powi, żie waszmości nadażilo sie troszku nieprawdu powiedzić?« — »Jakto nieprawdę?« odparł pachołek, stukając szklanką o stół, „Daj słowo, że mię nie zdradzisz, a wnet cię przekonam!« i wsunął rękę do pobocznéj kieszeni. — »Daj waszmość pokuj, panie Antoni! ja nie taki barzo ciekawi; a na co mnie tego wiedzić?... ja tak jeno muwil, bo jasz nie ras widział, jak to Ichmość panowie dworski lubi czasem pochwalić sie wienci jak trzieba.« — »Nie, panie Icku, ja widzę, że waszeć mi nie dowierzasz; otoż patrzaj....« Wtém wyciągnął z kieszeni pakiet listów i niewielkie płaskie pudełeczko hebanowe, bardzo pięknéj roboty. — Żyd udaje, że go to nie obchodzi, lecz się w duszy niezmiernie raduje. Urwał palcami knota dogorewającéj szabasówce, ukląkł na ławie, wsparł się w pół stołu, wlepił oczy w leżące na stole ciekawe przedmioty — i był to obraz owego gorącego wyżła, co to wiedziony psią naturą i nadzieją oberwania od myśliwca jakiéj skórki chleba, stanie do bekasa i jak wryty stoi, tylko ogonem wachluje, aż w nim wszystka krew zawrzy i oczy na łeb wyciśnie; a gdy w téj posturze tuż, tuż swą zdobycz ma w paszczę pochwycić, ptaszek się porywa, wyżeł jak wściekły rozbija się za nim, i pędziłby go aż na koniec świata.

»Żebyście nie rozumieli, panie Icku, że to do lada kogo one listy,« mówił daléj pachołek, „słuchajcież, oto naprzód dwa najważniejsze: Do pana Kostki, wojewody Sendomirskiego, a do pana Andrzeja Tenczyńskiego, wojewody Bełskiego.« — »No, te dwa wojewodi,« przerwał arendarz, »te dwa wojewodi, to co hinszego; im nie ma co powiedzić, obadwa barzo bogati pani. Ale powiedajo, co woni sami chco bić krulem.« — „Nie prawda, jam tego nie słyszał. Owszem, mówiono mi, że wojewoda Bełski o koronie ani myśli; a co do pana Sendomirskiego, ten jéj nie odrzuca, lecz się o nią, jak mówią, osobiście nie stara; a jeśli go ludzie koronują, tedy to ztąd idzie, iż o nim trzymają, że pono de facto do tronu należy. Wszakże się to dzieje mimo jego wiedzy; wiadomo tylko, że za sprawą pana Zamojskiego, starosta Bełskiego.« — »No, niechaj tak biendzie, jak waszmość chce Ale w te ladne pudeleszko cosz to tam takiego jest?« — »To jest bardzo szacowny klejnot, przeznaczony od pana starosty na podarunek dla biskupa Krakowskiego; ale to waszcie nie pokażę, boć się nie godzi nań patrzać, chyba że się przeżegnacie.« — »No, nie żartujcie, panie Antoni.« — »Ja też nie żartuję, bo w istości jest to dyamentowy święty krzyż pański, na którym przodkowie waszeci zbawiciela świata przybili. Ale to inna sprawa. Patrzajcie-no na ten gruby list .... a zgadnijcie do kogo?« — »No, to zapewnie do ksiendza primasa.« — „A! czyście oszaleli, panie Icku? do tego starego intryganta! Toć pan starosta znieść go nie może dla jego chytrości a obłudy, wzdyż miałżeby z nim być w korrespondencyi! Toć i prymas pana starosty nie cierpi, i żyją z sobą, jakby to, nieporównywając, pies z kotem. Otóż ten list do pana Zborowskiego, wojewody Krakowskiego; a ten do pana Górki, kasztelana Międzyrzeckiego; ten do pana Szafrańca, do pana Siennickiego.... lecz dosyć już tego, bo mię znowu pod łopatką ukluło." Domawiając tych słów, zebrał wszystkie listy i pudełko, wcisnął do kieszeni, i chwytając się za żebra, krzyknął: »Jezus — Marya — Józef! — zmiłuj się, panie arendarzu, daj mi jaki ratunek, bo przysięgam panu Bogu, że nie wytrzymam .... Ba! niech go jasne pioruny zapalą, jak kole!... Aj!... aj, aj, aj, aj!«

Na ten krzyk podbiegła na środek izby Esterka i wstrzymała się; tymczasem arendarz zerwał się ze stołu, odsunął go na stronę, przypadł do chorego, chwyta go to wpół, to za ramiona, to mu czoło ociera. Słowem, w największém pomięszaniu sam nie wie, co robi, — wtém wytrąca zręcznie choremu jeden list z kieszeni, następuje nań nogą i woła na żonę, by ratowała chorego, nie wiedząc, że ta tuż za nim stała i pilnie się przypatrując krzątaniu się jego około pacyenta. »Panie Antoni!« zawołała Esterka, zbliżając się do chorego, „oto wam list z kieszeni wypadł!«

Na te słowa zadrżał arendarz, i przerażony opuścił ręce. Tu go żona chwyciła za ramie i tak silnie pociągnęła, że go z miejsca strąciła, a sama przy chorym stanęła. — Opatrzył się chory i począł się troskać, aż Icek podjął list z ziemi i oddając go rzecze: »Obacz-

cie-no, czi to waszmosim list.« — Pachołek pochwycił go skwapliwie, wołając: »Aj! to mój!... to mój, panie Icku! Bóg zapłać waszeci!.... Takem osłabł, że nie wiem, co się koło mnie dzieje.« — Żyd odszedł na kilka kroków, popatrzał na żonę ukosem; zdawało się, że ją w duszy miał za złego ducha, co go niewidomie ścigał; bąknął coś niezrozumiale, wyszedł z izby i przechadzał się przed karczmą głęboko zamyślony. — Tymczasem Esterka zajęła się chorym, zaprowadziła go do gościnnego alkierza, kazała mu się położyć, i usiadła przy łóżku, nie chcąc pacyenta samego zostawiać. Pachołek bardziéj chmielem miodowym niż chorobą złożony, nie mogąc z razu usnąć, taką z Esterką prowadził rozmowę: „Dziękuję wam, pani Ickowo, żeś tak na mnię łaskawa.« — „Ale waszmość, panie Antoni, czemuście to nie łaskawi na mnie? zawsze źle o mnie trzymacie; a dziś takeście mi przykre powiedzieli słowo.« — »O czém to mówicie? bo ja tego wcale nie rozumiem.« — »Posądziliście mnię, żem dla chciwości was pytała, czyście sami kazali dać miodu?« — »Toć już tego nie należy mi pamiętać!... Ale żeś pani Ickowo zawsze jakaś posępna, milcząca, niespokojna, a ciekawa, tedy słusznie by was można posądzać o niechęć dla ludzi, że ich nie rada w swoim domu widzisz, i że tylko patrzysz, żeby ci kto czego darmo nie zjadł abo nie wypił« — »Nie rozumiejcie tak o mnie,« odrzekła Esterka ze łzami w oczach, »nie to jest moja natura.« — »Powiedzcie mi, pani Ickowo, zkąd rodem jesteście?« — „Jam nie tutejsza ... z Moguncyi rodem .... tam moi rodzice i krewni; oni tam szczęśliwi, a ja się tu łzami zalewam, myśląc o przyszłości moich biednych dziatek!« i głęboko westchnęła. — „A toć kiedy nie macie tutaj dla nich sposobu, tedy je do tych tam waszych poszlijcie, niechaj tam z nimi spólnego doznawają szczęścią z czasem, może też i same powychodzą na ludzi; — wszakci to pospolita u starozakonnych, że się z niczego na coś wychodzi, a pan Bóg to święty wie, jakiemi sposoby« — „Ach!... nie tém się ja troskam, jakby moje dziatki na ludzi wyprowadzić...« odpowiedziała Esterka, i umilkła, czy to nie chcąc daléj się w téj rzeczy rozwodzić, czy też postrzegając, że jéj rozmownik począł już był drzemać.

Wtém zawołali na nią przybyli do gościnnéj izby dwaj wieśniacy. Esterka chwyciła świecę, wybiegła cicho z alkierza i poczęła im usługiwać.

Przez cały czas rozmowy Esterki z pachołkiem, żyd przechadzał się po dworze. Zaszedł był do stajni, chwilę tam jakąś zabawił, potem wszedł do izby. Chodził niespokojny; zajrzał to do jednego alkierza, to do drugiego, czemś ważném był zajęty. Patrząc na to siedzący przy stole wieśniacy, mówili do siebie: »Patsajta, Matjasa, jak ten arendas cosz tak barzo niespokojny.« — »Dyćz widzę, Jakubie; muszialа szię to onemu jakowa niescęsliwoscz psydazyćz.«

„A cus-to tak waseczi ciesko na sercu, panie arendazu?« zapytał Jakub żyda, który się czemuś z wielką uwagą przysłuchywał, stojąc na progu sypialnego alkierza. Na to zapytanie żyd raptem się obrócił, podbiegł do stołu i rzekł pomieszany: „Cziego to waszie potrziebujecie?« — »A jus tam pani arendarku skocyła do piwnicy,« odrzekł Matyasz, »ale my pytamy waseczi, cy to szię wam jakawa psygoda nadazyła?« — »Ot, każdi ma swoje do cierpienia a turbunku, — a jaka ona glupia ta bialoglowa, żiebi chorego tak zostawować.

Powiedziawszy to postąpił ku drzwiom gościnnego alkierza, drzwi nieco uchylił i przytrzymując one bardzo ostrożnie, wcisnął się do środka, zbliżył się na palcach do łóżka, szukał tam czegoś, i lubo śpiącego bardzo delikatnie rękoma dotykał, przebudził go niechcąc i niewymownie przestraszył. Porwał się ze snu pachołek, i zawołał z całéj siły: „Wszelki duch Pana Boga chwali!...kto tu jest? kto?« — „No, to jo, panie Antoni, jo, Icek;« odpowiedział żyd przelękniony, postępując do łóżka z przeciwnego kąta, gdzie był zręcznie odskoczył w téjże saméj chwili, gdy się pachołek przebudził. »Bądźcie spokojni, ja tu umisnie siedzi sobie zdaleka, żiebi się Waszmości, bruń bożie, co zlego nie pszitrafilo; tob zaraz po cirulika skoczil.« — »Dziękuję Waszcie, panie Icku; ale chwała Bogu dobrze się mam, nic mię już nie boli; mogę teraz śmiało jechać.« Mówiąc to, zerwał się z łóżka i gotuje się do dalszéj podróży; wtém wbiega Esterka ze świecą. Otrętwiała zrazu postrzegłszy męża w alkierzu; lecz ochłonęła nieco, gdy usłyszała głos pachołka mówiącego do niéj wesołym tonem: »Dobry dzień, pani Ickowo! jakże się waszeć macie?« — »A Waszmoscine zdrowie?« — »Jam zdrów jak ryba. Bywajcież mi zdrowi; dziękuję za dobrą gościnność; a dla Waszeci Panie Icku, do osobliwéj znam się wdzięczności za oną uczciwość waszą, żeście mi list znaleziony oddali; inny możeby nie był tyle uczciwym, aby znalazłszy cudzą rzecz oddał onę właścicielowi. Wiecie jak są ważne te listy a sekretne; owoż, gdyby mi przyszło, broń Boże, który bądź z nich stracić, tedybym się niezawodnie i siebie stracił. Za prawdę mówię, iżby się w naszéj Rzeczy-pospolitéj wszystko do góry nogami przewróciło, gdyby choć jeden z nich był znaleziony a Prymasowi oddany. Przysiągłbym, że Prymas podzieliłby się z oddawcą onemi Rakuskiemi

talarami bitemi; ale zje sto djabłów, zanim tę smaczną dla niego zwierzynkę znowu z kieszeni wypuszczę!... Jeszcze raz waszeci dziękuję, panie Icku.« — »Panu Bogu podziękujcie, panie Antoni,« ozwała się Esterka, »on to w téj sprawie czuwał, on zamiarom poczciwym dopomaga, a złych nie dopuszcza.« — Parsknął na to ze śmiechu pachołek, wołając: »A! co tego, tom się wcale po białogłowie nie spodział.... Pani Ickowo, jak słyszę, piękną macie elokwencyę! i nasz ksiądz proboszcz nie powstydziłby się podobnie kazać. Ba! widać, żeś waszeć w swoim tam szczęśliwym kraju i teologii się wyuczyła. Ale kiedybym Prymasem był, tedybym ja was, pani Ester, z tego tam waszego białogłowstwa dyspensował, na kapłaństwo (Panie! przebacz to bluźnierstwo!) na kapłaństwo wyświęcił, i sobie za kapelana wziął. Boć tak ładną osobę miłoby przy swoim boku mieć. Przypatrzcie się no, panie Icku, co to za klejnocik posiadacie! Co to za oblicza piękność! a tych oczu, co to przy tém światełku w drobnéj rączce trzymanym żywym błyskają płomieniem, jak on dyamentowy krzyż pański« (tu wyjął z kieszeni pudełeczko i pokazał klejnot, który mocno arendarza zainteresował) »a co to za szyjka łabędzia! jakie usteczka rumiane! a nosek? jakby wystrugany! prawda, że trochę zadarty, ależ to pono zaletą w kobiecie mieć kończyk noska cokolwiek do góry? byle go jeno piękna pani sama nie zadzierała. Tylko żeś pani Esterko za nadto bladawa; skrzywiona, jakby z krzyża zdjęta! Prawdać i to, iżby Prymas nie ścierpiał, aby jego ładny kapelanek wysychał do reszty przy tych tam teologicznych księgach; owszem by go troskliwie pielęgnował: po najświętszéj mszy wyszedłszy z kaplicy, prosiłby go na śniadanie. Bywajcie mi zdrowi; a waszeć panie Icku, nie zapomnij przyjechać na koronacyę, żebyśmy spólnie waszecin miodek odpili. Ależ pamiętajcie, żebyście słowa dotrzymali, jeśli nie chcecie, bym zamiast Prymasa was samych własną ręką na szubienicy powiesił i za nogi pociągnął. Dobranoc — poświeccie mi z łaski swojéj.« — Arendarz wziął świeczkę z rąk żony, wyprowadził gościa za drzwi i rzekł siadającemu na koń: »No, szczienśliwa droga, panie Antoni; jeno tak drugi raz nie ziartujcie; co to pięknego, takie rzieczi gadać?« — »Dobrze, dobrze; ale powiedzcie mi, która tam droga do Ozadówki?« — »Tam za kolewrotem, biendziecie mieli dwie drogi: jedna pszez lasu, a druga pszez pole, a obydwa schodzi się w Ozadowce kole samego zamku« — »A któraż krótsza?« — »Ja nie wi, ale wsziski pszez lasu jezdzi.« — »To i ja tamtędy pojadę. Dobranoc! W imie ojca, i syna, i ducha świętego.« Cmoknął na konia i popędził. — Arendarz wrócił do izby i zbliżając się do stołu, rzekł włościanom przy nim siedzącym: »No jusz pulnoc, ja karczme zamika.« — »Tos i my wychodzimy,« odrzekł Matiasz, »ale jakis to zabawny ten podruzny; to pono dwozanin pana Starosty Bełskiego, my znamy dobze onego, ale on nas nie dojzał. Maczie oto panie arendazu wasc tsy denary za piwo. Dobranoc waseczi!« Wyszli z karczmy wieśniacy; arendarz drzwi pozamykał i wszedł do sypialnego alkierza. Zastał tam żonę ścielącą pościel. Słowa do niéj nie przemówił; i ona też milczy. Było jego zwyczajem, że ile razy pogniewał się z żoną, nie chciał w izbie nocować, lecz szedł na nocleg do sieni. Okręcił się tedy niespokojny po alkierzu, chwycił poduszkę, przykrycie i opończę; czapkę zostawił na swojém łóżku, i spiesznie wybiegł do stajni.

Rozdział III.

Dwór.

Zmordowany Litwin dwutygodniową podróżą spał smacznie od wieczora aż do północy; lecz przerwał mu sen krzątający się po stajni ze świecą arendarz. Nie mógł już powtórnie zasnąć, tylko się przewracał, i ledwie nade dniem znowu go sen smarzył. Spał powtórnie dość długo, i nie ocknął się, aż gdy gospodarne żydowstwo poczęło drzwiami i wrotami bez ustanku skrzypać. Zerwał się wówczas, przeżegnał się; skoczył do konia, podniósł mu jednę nogę, potém drugą, pilnie je upatrzył, i ucieszony, że mu rumak wyzdrowiał, gotuje się do dalszéj podróży. Osiodłał konia, zaszedł do izby, zapłacił arendarzowi, co należało, i puścił się wskazaną sobie drogą. Nie szczędził ni rumaka ni nahajki; pędził spiesznie, i o południu stanął szczęśliwie we wsi Dolinie.

Od kołowrotu aż do dworu ciągnęła się prosto przez wieś długa a szeroka ulica, wysypana żwirem, osadzona wysokiemi topolami, za któremi z obu stron stały rzędem chędogie i porządnie zabudowane włościańskie pomieszkania, a za niemi, tu i owdzie, mniéj systematycznie rozrzucone stodoły.

Jechał podróżny tą ulicą powolnym krokiem do dworu, nie zważając na chychotki obok niego przechodzących wieśniaków, którzy dla osobliwości jego ubioru nie mogli się powstrzymać od śmiechu.

Przeciw téj ulicy, na wyniosłym wzgórzu gładko splantowanym, łączącym się ze wsią folwarczną budowlą, stała wysoka drewniana brama, zakończona krużgankiem, z którego, wedle staropolskiego obyczaju, gry-

wała niekiedy kapela pod czas dorocznych świąt, lub wielkich domowych uroczystości, a to dla okazania przybywającym gościom, że się ich z wesołém umysłem a radośném sercem wygląda i oczekuje. — Po obu stronach bramy rozchodziły się w kształcie skrzydeł zaokrąglone wpół-kole, rzadkie, wysokie sztachety, przez które z dala widać już było obszerny czysty dziedziniec. Od tych sztachetów, w prawo i na lewo, ciągnęły się łukiem, naprzód dwie niskich oficyn, z których jednę po prawéj stronie od wjazdu zajmował podstarości z familią, i ksiądz Jozef, kapelan; druga zaś, po lewéj, mieściła w sobie ochmistrzynię i czeladź. Do mieszkania księdza Józefa przytykała domowa kaplica, w ładną zbudowana rotundę, otoczona kolumnami, z wydętą wysoką kopułą; a naprzeciw kaplicy, przy drugiéj oficynie, stał lamus czyli skarbiec; nad nim suszarnia, a na wierzchu gołębnik. Od tych budowli szły znowu łukiem wysokie sztachety przedzielone furtkami, i opierając się o zręby pięknego, starożytnéj architektury mieszkania, zamykały dziedziniec, śród którego, wedle ówczesnego obyczaju, stał słup drewniany, a u tego słupa przybite trzy kółka metaliczne, służyły przyjezdnym do uwiązywania koni. Lecz nie z jednego metalu te kółka ukute, i nie dla wszystkich stanów zarówno służyły; takie między niemi było stopniowanie: pierwsze od dołu żelazne, dla chłopa i żyda; drugie wyżéj mosiężne, dla herbownéj szlachty; zaś najwyższe srebrne, dla arystokratów. Dom mieszkalny w głębi dziedzińca, był to obszerny gmach jedno-piątrowy w równoległobok zbudowany, którego dach spiczasty, gontami pobity, ginął gdzieś między gałęziami blisko domu nasadzonych topoli. Wierzchołka aniś dojrzał, tak go tam troskliwie drzewa otuliły; tylkoś widział między wietrzniki po środku, na wysokim pręcie blaszanego jeźdźca; niby-to strażnik domowy. Z pałaszem w dłoni, zręcznie dzielnego rumaka na wszystkie strony powraca; i nic się tam czujności jego nie wykradnie, bo całą okolicę widzi, jak na stole, i w prawo, i w lewo, i w tył, i przed sobą, a tak daleko, jak oko zasięgnie. — Główny wchód dziedzińca poprzedzony był spaniałą wystawą o czterech filarach koryntckiego porządku; na nich ganek czyli balkon kryty, nad którym wynosiła się kształtem trójkąta wielka fącyata, gdzie zamiast herbów osadzone było stare półzegarze.

Piękny był widok budowli z dziedzińca i ze wsi; lecz nierównie piękniejszy patrząc nań zdala o kilkaset kroków. Wyniesiony na wzgórzu, śród rozległéj na ćwierć mili, wesołéj płaszczyzny, porzniętéj strumykami w kształcie wężów tu i owdzie bezładnie pełznących między wioski, jeziora, i gaje, i skały, miał w sobie ten gmach starożytny coś tak poważnego, że mimowolnie obudzał szacunek. Jakoż wysokie malownicze miejsca położenie, obok wioski w dole, nadawało mu charakter majestatycznie nad całą okolicą panującego zwierzchnika. I wszystko się przed nim korzyło: chaty wiejskie, stodoły i inne budowle, acz na swą naturę wzniosłe i obszerne, były przy nim tak liche i drobne, żeś one z góry ledwie okiem dośledził. Ba! i wysokie drzewa zdawały się oddawać cześć jemu powinną i uszanowanie; bo ile razy czuwający na żelaznym pręcie strażnik z dobytym pałaszem zwróci się na stronę, wnet gaje okoliczne i bujne topole, schyleniem swych wierzchołków zewsząd się kłaniają; tylko każde nieugięte dęby i dębczaki z grzeczności za cały hołd panu liściem trochę potrząsną, jakby myśląc w sobie: »ten domek drewniany, co tam sterczy na wzgórku, nie z naszego szlachetnego ciała zbudowany — po cóż mu się kłaniać?« — W istocie dom był drewniany i nie pobielony. Z jego naturalnéj farby nikt by się nie domyślił, co tam wewnątrz zawierał. Lecz jakie tam bogactwa! co za ład, a urządzenie! wszystko na swojém miejscu, z wielkim smakiem ułożone, chędogie, a błyszczące od srebra i złota a drogich kamieni. Jaka tam zamożność, i klejnoty, trudno by wypowiedzieć. Pomimo to wszelakoż, państwo Dobrowolscy zwykli byli mawiać, że najdroższym tego domu klejnotem była nadobna ich córka: panna Katarzyna.

Wjechał Litwin na środek dziedzińca, szybko z siodła skoczył; konia przy słupie uwiązał i chwycił się do torby. Aż nadchodzi z oficyn niepoczesna figurka w szaraczkowém ubraniu, z czerwonym jak burak nosem i białowemi oczyma, jakby już po dziesiątym kieliszku: był to Pan Hilaryusz, domowy rezydent. — »Masz chłopie list?« zapytał podróżnego, »daj go sam!« — »Maju, panie, da kazali w ruki panowi oddać, a nie pachołku.« — »Cóż to? |chłopie! nie wi... widzisz, z kim mó...mó.. mówisz? Wiedz, żem nie pa...pa.. chołek, jeno brat stryjecznie cio...cio...teczny z pierwszego małżeństwa po kądzieli, a z drugiego przyrodni...ni...ni bliski krewny Jéjmości, tego zamku dziedziczki! zaś Jegomościn poufały przy...ja...ja.. jaciel...ciel...ciel przyjaciel;... do stołu z nim siadam i do...do...do gabinetu wchodzę!... Daj sam list!«

Nie było rady, musiał Litwin oddać i do ziemi się pokłonić. Pan Hilaryusz zawrócił się poważnie i odszedł, nie w zupełnie prostym kierunku; czasem to w prawo, to w lewo o jeden krok zboczył; szczęśliwie wszelakoż wdrapał się na ganek, chwycił się kolumny, chwilę odpoczął, obejrzał się w około, postąpił dwa sążniste kroki, wszedł do sieni i wsiadł na ławie.

Ledwie podróżny jednego się pozbył, zbliżył się ku niemu z przeciwnéj strony mimo przechodzący podstarości i zapytał: »Ktoś ty jest? czyś to z listem przyjechał?« — »Ta użo Panie, mowlały hety, jakby to s kartoju pryichau, do pryszau jakiś pjaniusieńkij panok, odobrau kartu, taj panowi ponios.« — »Cha! cha! cha! Tyś Litwin, znam cię ze śpiewającéj mowy.« — A czomuż ni? ot, panie, Lićwina taj wsiudy poznać; taj nia budu panie i taiśio szto Lićwin.« — »Zaprowadź konia do stajni.« Rzekłszy to podstarości, poszedł swoją drogą. — »A hdziesz panie stajnia?« zapytał go Litwin. — Podstarości się obejrzał, żeby odpowiedzieć; ale rzucił okiem na słup, wrócił się i przypadając do Litwina zawołał z furyą: »A gdzieżeś to ty chłopie, swoją szkapę uwiązał? Patrz no! czy to tam twoje miejsce? Tobie! prosty chamie! swą wywłokę do srebr..ne..go uwiązywać kół..ka!!!« Mówiąc to wyciągnął ramie; hop! Litwina w policzek raz, drugi i trzeci; byłby mu może ostatnie powyrywał kołtuny, gdyby tych nie ochraniała narodowa czapka gordyjskim węzłem pod brodą zawiązana. »Odwiąż, chłopie, tę wywłokę od onego kółka, coś je dotykając swoją chamską łapą splamił a splugawił, że choć one wyrzuć! Bo jakże tu teraz wielkim panom, naturalnym dygnitarzom, ich prześliczne cugle od klejnotów i jedwabiu do niego przywiązać? Chamie jeden! czyś nie widział tego tam żelaznego? a wszakci to psia powinność twoja patrzać na dół, nie do góry; być najniżéj, pod nogami magnata; bo on twój ojciec! pan! i dobrodziej!« — »To hdzie tam, panie!« ozwał się pieskliwie podróżny; »mój baćko dawno pamior; ot, tolko pan; jak mowlajuć, taj dobrodziej.« — »Cha cha cha! Jakiżeś ty głupi, chłopie,« rzekł mu podstarości kiwając głową, »toć się tylko tak mówi że ojciec, a to dla swéj miłościwéj łaski, że się z tobą jako z własném obchodzi dziecięciem; aliści naturalnym twym ojcem nie jest, boć przed się pan chłopa nie rodzi.« — »Prauda, panie; i szulak hołuba taj nia prywiedzie; da jeszczo jaho u pazury pochwycić, taj dziubaje w łob, szto i mazhu nia stanieć; a nia puscić, choć ty na jaho kriczysz, taj hukajesz sztob pusci-u.« — »Ale nie zaganuj-no chłopie ptaszkami, onéj swéj głupoty, że wjechawszy między ludzi nie wiesz jak się sprawić, a do najwyższego sięgasz sobie kółeczka! I kiedyż-to w naszéj Rzeczypospolitéj widiano, aby prosty chłop stał na równi z wielkim panem? jednego z nim prawa używał? abo przywileju? Wielki pan, chłopie, żebyś wiedział, prawdziwie wielki pan, nie on pospolity szlachcic, pan z panów i nad pany pan, ma u nas swój osobny przywilej; ba! nie tylko on, ale i dzieci jego; więc tobie chamie od niego za się! ta dystyngcya srebrnego kółka słusznie mu się należy, bo on uczciwie nie tak jak ty gdzieś zrodzony! Tyś widać, chłopie, w lesie wychowany, że nie wiesz jak masz kogo uczcić i wedle godności uszanować? bo choćby i w lesie! tedy naturalny rozum winien ci to mówić, że i tam najwyższa gałęź nie dla ciebie wyrosła!« — »Da nia wiedziau panie, kalib dawniej znau, tob tak i nia cierpieu jak cierplu; ot, za darmoście panie taj u mordu udaryli.« — »To przeproś-że, chłopie,« mówiąc to podstarości znacznie złagodniał; podał chłopkowi rękę, ten ją ucałował, i zgoda. »Prowadź konia za bramę; po prawéj stronie obaczysz stajnię; dadzą ci i tam siano i obroku.«

Gdy się te sceny na dziedzińcu odbywały, państwo Dobrowolscy siedzieli w Jegomościnym gabinecie i żywą prowadzili rozmowę. *J. L. Jastrzębski.*

Paryż w Listop. 1840. *(Dalszy ciąg wyjątków nastąpi.)*

Doniesienia literackie.

W przeszłym miesiącu umarł w Krotoszynie po krótkiéj chorobie były nauczyciel gimnazyum Poznańskiego, Tomasz Szumski. Zacny w każdym względzie, poczciwy w całém staropolskiem znaczeniu tego wyrazu, zasłużył on sobie przez to szczególnie na szacunek, iż, ile tylko w jego siłach było, działał bezinteresownie dla tych, w których jest nadzieja przyszłości. Jego dzieła dla użytku młodzieży po większéj części nie przechodzą granicy mierności, zawsze jednak jak na swój czas są godne uwagi. Oby tylko każdy tak, jak on, ile w jego siłach nie dla siebie, ale dla wszystkich pracował, a pewno tak spokojnie, jak ten starzec poczciwy duszę swą przeniesie w świat lepszy.

My rzucamy z uszanowaniem garść ziemi na grób starca, mówiąc: — — — »*est laudanda voluntas.*«

Lucyan Siemieński pracuje nad nowym poematem »Trzy Wieszczby.« Wyjątek z niego »Horoskop« umieścimy w najbliższym numerze.

Przy końcu drugiego półrocza tomu trzeciego Tygodnika literackiego uprasza się szanownych Prenumeratorów o wczesne złożenie przedpłaty na następne półrocze. W przeciwnym bowiem razie nie naszą byłoby winą, gdyby przerwy w nadsyłaniu numerów doznali.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*